

Wychodzą we *Wtorek*,
Czwartek i *Sobotę*. We
Lwowie prenumerata ro-
czna 6 Złr. półr. 3 Złr.
kwartal. 1 Złr. 30 kr.
miesięczna 40 kr. m. k.
w kraju z przesyłką po-
cztową rocznie 8 Złr. —
półrocznie 4 Złr. — kwar-
talnie 2 Złr. m. k. Ryci-
ny mód kwartal. 1 Złr.

NOWINY

Ogłoszenia wszelkiego
rodzaju przyjmują się zo-
płata od wiersza pis-
mem petyt w przedział-
ce za jednorazowe umie-
szczenie po 3 kr. za na-
stęp. po 1 1/2 kr. i za do-
płatę 10 kr. stępl. za każ-
dorazowe umieszczenie.
Biuro ekspedycki wksie-
garni H. W. Kallenbacha

CZERCZA MOGIŁA.

Powieść przez

J. J. Kraszewskiego.

(Dokończenie).

Stary, niegdyś kreisfyzyk Dawid Herzig, którego znale-
ziono nierychło, gdy go wprowadzono do izby, gdy pulsa
i język zobaczył, pokiwał głową i dobywszy tabakierki, wy-
ciągnął męża do pierwszego pokoju.

— A pocóżście tu mnie przyprowadzili? zapytał la-
manym językiem.

Hawnul spojrział nań, nie wiedząc co odpowiedzieć.

— Po księdza było posłać, nie po mnie! dodał grubi-
jańsko ruszając ramionami... a to ona za kilka godzin sko-
na! to to jest! to to jest i skona! A wy dopiero wołacie
fyzyka, kiedy chory stygnie... głupie polaki! Po co tu fi-
zyk, po co medyk! jak ją baby zakurowały... To to jest!

I zażył spokojnie tabaki.

— Co waćpan mówisz? krzyknął Hawnul — czyż by
ona miała być tak źle!

— A ha! dopiero pyta głupi polak! a ona za kilka
godzin *caput*... rzekł fizyk siadając i ocierając pot z czoła...
to jest pewniejsza niż że my jutro żyć będziemy.

— I nie ma ratunku? załamał ręce Hawnul.

— Żadnego! *caput*! chłodno wybąknął Niemiec — za-
późno! *caput* jemu! posyłajcie po księdza!

— Tak młoda! tyle siły!

— Można przedłużyć konanie, ale nie powrócić życie...
na to niema sposobu.

Hawnul zachwiał się, krew widocznie uderzyła mu do
głowy i atak był tak silny, że jak długi padł na ziemię.
Niemiec się porwał, ludzie nadbiegli, znalazł się i Paweł
Żużel, zanieśli go na łóżko, poczęto trzeźwić, musiano na-
wet krwi mu upuścić, ale zaledwie oprzytomniał, wyrwał
się im i do łóżka chorej, drzwi za sobą zatrzaskując po-
leciał. Żużel obawiając się o niego, pobiegł za nim i mi-
mowolnie świadkiem był sceny, która głęboko wraziła się
w pamięć jego.

W pokoju którego jedno przysłonione okno nie wielką
ilość światła przepuszczało przez gęstą firankę, leżała cho-
ra Hawnulowa. Twarz jej bladą zaledwie wśród bielizny ro-
zeznąć było można, dwoje tylko brwi czarnych i czarnego

warkocza pasmo wskazywały zdaleka gdzie spoczywała jej
głowa. Chora już nawet modlitw odmawiać nie mogła,
zdawała się usypiać, gdy wszedł Hawnul i zbliżył się do
łoża z wyrazem rozpaczki, z załamaniami rękoma.

Chociaż go niepostrzegła bo oczy miała zamknięte,
wstrząsła się i porwała o swoich siłach umierająca, otwar-
ła powieki, poznała męża a przez chwilę milczenia stra-
znego mierzyli się jak zapaśnicy wzrokiem, który miał
wyraz błagalny w oczach Hawnula, a pełen był srogich
wyrzutów od żony.

— Księdza! na Boga! księdza! wyjąknęła wręście Ha-
wnulowa — niech z duszą skalaną nie idę na sąd Najwyż-
szego... księdza! by mi przebaczenie ogłosił, bym się przed
nim oczyścić mogła. godzina się zbliża...

— Posłałem po niego! rzekł mąż z cicha — uspokój
się — na Boga, spocznij.

— Nie! dla mnie niema spokoju, ozwał się głos coraz
silniejszy i nabierający energii — ani dla ciebie Samuelu!
Bóg cię dotyka mściwą ręką, boś nic Bożego nie poszano-
wał na świecie. Wierzyłeś w chytrność i zdradę — giniesz
od mocy której ani podejść, ani złamać już nie potrafisz.
Patr! jam jedna z ofiar twoich! Jam dziś sama, u łoża
wzgardzonej nędzniczki ani ojca, ani matki, ani przyjaciela,
ani kapłana, jeden tylko żywy wyrzut, żywe przypomnie-
nie zbrodni. Ciebie gorszy jeszcze koniec czeka! A! nie-
chcę ust kalać gniewem i wołaniem o zemstę, gdy wszyst-
ko przebaczyć potrzeba, ale miecz wisi nad twoją głową...
Ja wiem wszystko... jam we śnie widziała czego niczyje o-
ko nie widziało na jawie. Tyś zbójca! gwałciciel grobów,
zbójca nie raz jeden... podwójny... potrzykroć zbójca, —
Tyś i mnie zabił Hawnulu... czas pokutować, czas się uko-
rzyć, bo piekło cię czeka.

Hawnul stał milczący i nieruchomy.

— Kobieto, rzekł po chwili — marzysz — upamiętaj
się.

— Nie, nie marzę — odparła śmiejąc. Bóg mi do-
zwolił oglądać, czego nikt prócz Niego nie widział... Przed
oczymi mojemu rozryta mogiła... i ten sąsiad nienawistny.
Widzę cię jeszcze w ubraniu chłopskiem przekradającego
się przez krzaki, mierzącego w plecy bezbronnego nieprzy-
jaciela... słyszę strzał, słyszę krzyk, widzę śmierć... Ty
uciekasz przez zarośla i błota... niewinni ludzie cierpią za
ciebie... sierota zwywa pomsty Boga.

Hawnulowi włos najeżył się na skroni, zachwiał się i pokląkł.

— Żywi i umarli wołają o pomstę nad tobą Hawnulu, mówiła dalej żona. Jeszcze chwila a przyjdzie jak piorun z hańbą, z upodleniem... Kój się, żałuj, bij w piersi, a może moja modlitwa litości dla ciebie uprosi...

Gdy to mówiła jeszcze, dzwonek się dał słyszeć w przyległej komnacie i ksiądz unita, po którego do bliskiej posłano parafii, wszedł z przenajświętszym Sakramentem. Chora otulając się prześcieradłami zsunęła z łóżka i klękała jak pokutnica, a Hawnul usunął się tylko, pełznąć na kolanach i czołem o ziemię uderzył. Kilku ludzi weszło, niosąc zapalone świece.

Potrzeba wszystkim oddalić się było, aby chora spowiedź odbyć mogła, ale gdy przyszło Hawnula odciągnąć, musiano go gwałtem prawie dźwignąć i wynieść z pokoju.

Twarz jego tak była strasznie zmieniona że na nią bez wewnętrznego wzruszenia spojrzeć było niepodobna, nie mówił nic, oczyma tylko przewracał, a usta sine jak w chorobie pianą mu się okrywały. Znać jednak wielka w nim zaszła zmiana, bo się bił w piersi ze skruchą i kiedy niekiedy łyza wycisnęła się z powiek, po suchych spływając policzkach, jak wielka deszczu kropla, co zapowiada nadchodzącą burzę.

Po ukończeniu spowiedzi, chora ledwie miała czas przyjąć ostatnie pomazanie. Łzy ją porwały, jęk jakiś, złożyła ręce i w konwulsjach wołając ratunku skołała.

Hawnul na dźwięk tego głosu znanego przybiegł do łóżka, chwycił ją w pół obłąkany, ale miasto utulić, zgon tylko przyspieszył, bo chora odpychając go ze wstrętem, w ostatnim tym wysiłku ducha oddała. Od zastygłej ledwie go oderwano, a gdy na twarz jej spojrzawszy zgonu piętno zobaczył, wytłoczone na pięknej twarzy męczenniczki, obficie łzy mu się rzuciły, które wprzód wytrysknąć nie mogły i pokląkszy, zawołał księdza i ludzi.

Obok łóżka umarłej, wśród zbiegowiska czeladzi, która zewsząd spieszyła, przy kapłanie i obcych, nagle Hawnul głos podniósł i zdretniałym z podziwienia oznajmił, że publicznie chce wyznać wielką tajemnicę, która sumienie jego obciąża.

Widok to był straszliwy, gdy na klęczkach przed siwym staruszkiem, z dumnego zuchwalca nagle ukorzony grzesznik, począł spowiedź z życia, pełnego bezbożności i występków.

Obwinał się o liczne zbrodnie, o gwałtowne żony porwanie, o bezecne postępowanie z jej rodzicami, o pogwałcenie klasztorów, o świętokradzkie śluby, o przenięstwo i zdrady; a gdy przyszło do ostatnich lat życia w tych słowach zeznał winę, o którą go nikt z obecnych posiadać nawet nie śmiał:

— Widzicie we mnie, rzekł na ostatek, zabójcę Stefana Wilczury, Oto sam, dobrowolnie zeznaję żem go zdradą

zabił i wydaję się w ręce wasze, duszę moją polecając miłosierdziu Bożemu, ciało zdaję sprawiedliwości ludzkiej. Odstawcie mnie do sądu, niech sąd i miecz ukarzą aby Bóg mógł przebaczyć! Krew za krew, życie za życie!

Polożenie kapłana i obecnych było nadzwyczajne, niewiedzieli jak sobie począć, czy go słuchać i wierzyć mu, czy to wszystko wziąć za szal i gorączkę, ale doktor uląkszy się tragedyi, siadł na kałamaszkę i z historią tą pierwszy polecał do miasteczka. Ledwie z wózka zsiadłszy, pobiegł zaraz z relacją do podsędyka, podsędyk posłał po Turzona, po znajdujących się w miasteczku przyjaciół Wilczury i co żyło zbiegło się natychmiast słuchać, podziwiając palec Boży w tej sprawie. Uradzono zgodnie jechać na miejsce i w skutek publicznego wyznania, uwięzić naprzód winowajcę, aby oprzytomniawszy i rozmyśliwszy się nie uciekł.

Pomimo pośpiechu i ponagłań Turzona, kierującego tą wyprawą, nim się urząd dowiedział, nim środki obmyślono, nim się komenderowani wybrali, połowa dnia upłynęła i wieczór już był, gdy na żydowskich brykach dopadli sądowni do dworu w Krasnem.

Tu już w pierwszej izbie na katafalku spoczywało ostateknie świecami ciało nieboszczki, przy nim siedziały kilka bab i diaczek odspiewujący modlitwy, a w nogach tapczanu leżał krzyżem Hawnul, ze związanymi grubym sznurem rękami, sam się bowiem sługom swoim skrępować kazał na znak winy i pokuty.

Przybyli poklękli, pomodlili się u ciała, ale za ledwie wieczny odpoczynek odmówić potrafili, Hawnul który ze szmeru i ruchu przybycia ich się domyślił, zerwał się na nogi i głosem wykrzyknął:

— Oto mnie macie! jestem zabójca Stefana Wilczury! Sam wydaję się w ręce wasze, Bóg dotknął twarde i grzeszne serce moje, bierzcie i karzcie mnie abym duszę ocalił. Śmierci proszę, śmierci żądam chrześcijańskiej! Niefolgujcie mi i weźcie mienawistne życie.

Najzjadlejszych nieprzyjaciół tak przeniknął ten głos dochodzący ich od katafalku, że już niemieli serca więcej się znęcać nad nieszczęśliwym; umilkli, czując się wzruszeni litością.

— Tak! dodał Hawnul przerywając uroczyste milczenie — Jam zabójca Wilczury, zabójca żony i dziecięcia, jam występny, jam zbrodzień, bierzcie mnie i wydajcie katowi jakom zasłużył, drzyjcie pasy ze mnie, utnijcie głowę toporem. O jedną tylko proszę łaskę choć i tej nie jestem godzien. Niech związany i skuty jak zbrodniarz pójdę jeszcze to drogie i niewinne ciało odprowadzić na miejsce wiecznego spoczynku.

Nikt się do niego nie odezwał. Po chwili pochołkowie sądowi ujeli dobrowolnie się im zdającego winowajcę. Pogrzebem i całym obchodem sam już się Żużel zatrudniał, który jak powiada, mało nie oszalał wśród tych wypadków, tracąc głowę i przytomność i siły. Hawnula tym czasem

w izbie strzeżonej zamknięto a ciału nazajutrz sprawiono pogrzeb przystojny.

Ogromna moc ludu z miasteczka i wsi sąsiednich zbiegła się nań, zwabiona odgłosem dziwnych zeznań dziedzica Krasnego, powiększonych trójnasób przez ciekawych co ją powtarzali. Urzędnicy, duchowieństwo spraszone, sąsiedzi, wieśniacy szli długą za wozem żałobnym procesją, a tuż za trumną z zakutymi żelaznym łańcuchem rękami, z obnażoną głową, w prostej sukmanie, wedle własnego życzenia, szedł zabójca, otoczony pacholkami.

Nad mogiłą upadł biedny pod ciężarem rozpacz i boleści, tak że go na rękach z tamtąd wynieść i na wóz włożywszy, wprost do więzienia odwieźć musiano.

Dwór w Krasnem opustoszał od tej chwili. W miasteczku odegrały się ostatnie sceny tego dramatu, przed zgromadzonym sądem zeznał zabójca winę swoją publicznie i na gardło osądzony został. Nie pozwolił w sprawie swojej stawać żadnemu obrońcy i wyrok przyjął z pokorą na klęczkach.

— Do wyroku tego, rzekł po chwili namysłu, jeśli mi wolno jedno mej woli rozporządzenie dodać, uczynicie się dziowie jako was błaga skazany. Spełni się nademną sprawiedliwość, przykładem będę dla zatwardziałych, ale pamięć krótka. Chcę bym pokutował po zgonie i nie leżał na święcanej ziemi wśród zmarłych, których spoczynek zgwałciłem. Niegodzien jestem mogiły. Niech ciało moje nieopgrzebane stoi pół wieku na oczach tych których życie moje zgorszyło, i przypomina im pomstę Bożą.

Wykonało się to życzenie Hawnula, gdyż po spełnieniu nad nim wyroku przez kata i ścięcie na podwórze przy szlacheckiej wieży, w miejscu które dotąd ukazują, ciało w trumnie złożone zostało i odprowadzone naprzód do kapliczki smętarzowej, potem do umyślnie na ten cel wzniesionej w ogrodzie dworskim, gdzie jeszcze je po upływie lat kilkudziesięciu oglądał.

Takie było opowiadanie Żuźła, który przypomnieniem smutnych wypadków swojego życia znużył się i do łez rozczulił. Nie chciałem go już o nic więcej rozpytywać, widząc że nieborak ledwie się mógł dobić do końca, opisując ostatek tych strasznych przygód przybyłca, a po którym już nawet w okolicy imię nie zostało, a historia jego przerobiła się w cudowności pełną legendę.

Odeszliśmy od osamotniałego dworu, ku karzmiu, gdzie właśnie cymbały i skrzypki zapowiadały wesele wieśniacze. Widok jego trochę mi smutne myśli rozpedził. Żuźel także rozochocił się, bo go podpoili starostowie i drużby, a ja nie wyspany i rozmarzony po snach ciężkich, w których mieszało się śmiertelność i wesele, jęki i tany, pieśni i narzekania, nazajutrz do dnia w dalszą ruszyłem drogę.

Sierpień 1854. Żytomierz. Kisiele.

MŁODY LUTNISTA.

.....Dzikich marzeń potępieniec.....

B. Zaleski.

Pod krzyżem młodzian w wieczornym zmroku
Siedział nad lutnią schylony,
I ogień dziwny pałał mu w oku
Gdy ręką poruszył strony.

Lecz kiedy granie ucichło smętne,
Pod ręką struny nie drgały,
Z piersi jak burza słowa namiętne
Przez usta jego leciały: —

«Tęskno mej duszy — pożegnaj matkę!
W świat pójde — w drogę — hej w drogę!
Myśl ciężą w sereu — porzucę chatkę....
Ja żyć tu dłużej niemożę.

»Tu mnie kochają — a mnie tu nudno,
Chcę marzyć, pierzechną marzenia,
Pieśń ukochałem — a śpiewać trudno!
Oh! pójde szukać natchnienia.

«Na tych tu polach — przy tym ruczaju,
Z młodzieńczą piosnką jak ptaszek
Bujałem nieraz, marząc o raju,
Pośród dziecinnych igraszek.

»I kiedy moi bracia rowieśni
Gwarnej zabawy szukali,
Jam sobie dumał o mojej pieśni
Przy drżącej ruczaju fali.

»Ale to były piosnki dziecinnie,
I polot marzeń tułaczy,
Duszę mam inną — serce mam inne,
O dzisiaj czuję inaczej.

«Kiedym dziś ujrzał — jak nad opoką
Orzeł tam w górze zawisnął
To mj się łzami zamgliło oko
I ból za sereu mię ścisnął;

«Że moja dusza tak nieuleci —
Jako ten orzeł daleko;
O nie tu dla mnie życie się kwieci,
Mnie walczyć z burzą i spieką.

«I z pełną piersią, z kijem pielgrzyma
Przebiegnąć stępy, zwaliska
I karmić myśli — i pić oczyma
Cndne natury igrzyska.

«Duszą przepłynę rodzinne wody —
Ojczyste pola — dąbrowy;
Echem przemówią zwalone grody,
I krzyż zaskrzypie stepowy,

»Co nad mogiłą pamiętek strzeże
Pokoleń obmyty łzami,

Wieści o ojcach szczerem uwierzę —
Przeplotę złotemi snami.

«I przetkam myśli pajęczą tkanką
Czynów przeszłości minionej,
Pójdź moja lutni! lutni kochanko
Nowe nawiążę ci stróny.

»A kiedy wrócę — to w bratniem kole
Tajniki serca otworzę:
Natchnienie porwie myśli sokole,
Ja dłoń na lutnię położę,

«I będę nocił — oni swe dłonie
Splotą na piersiach w tęsknocie,
W pół zadumani — a tam zapłonie
W noc księżyc i światel krocie.

«A przy tym blasku — z dźwiękiem mej pieśni,
Mgła się po ziemi rozścieli.
Kiedy pieśń skończę, bracia rowieśni,
Spojrzę: śród nocy zniśniełi.

»Ha wiem, gdzie poszli — nadeszła chwila
Zerwać żałobne całuny!...»
Ucichł — w zadumie lica pochyla,
I tęskno uderzył w struny.

A z brzaskiem zorzy — padł do nóg matce.
Prosił: «błogosław mi w drogę!
Myślom i sercu ciasno w tej chatce,
Dłużej pozostać nie mogę!»

I poszedł młodzian i pierś mu drzała
Pełna piorunów i burzy,
Przed chatą matka ze łzami stała,
Błogosławiła podróży.

Dzień za dniem mija, — młodzian szedł dalej;
Cyt! coś mu szepeją dąbrowy, —
Jakieś tam dźwięki plusnęły w fali,
On poszedł pod krzyż stępowy.

Krzyż stary skrzypnął ponuro — smutnie,
On duszę wyteża całą,
I drżącą ręką już stroi lutnię,
Lecz krzyż powiedział: za mało.

Do cichej ziemi ucho przykłada,
Śledzi bojowych odgłosów,
Lecz ziemia milczy, nie odpowiada,
Li słyhać z dala szum kłosów.

I poszedł dalej, ponęty świata
W drodze go wabią tak mile:
Ale on duszę z ojcami splata,
Co śpią pod krzyżem w mogile.

Czasami tylko myśli zatrzyma
W chatce u swojej rodziny,
A potem spieszy — z sercem pielgrzyma
Dumać na grodów ruiny.

Cicho! śród zwalisk starych zamczyska,
Na głazie siedzi młodzieniec,
W rękę ma lutnię, z ocz ognień błyska,
Na skroni dębowy wieniec

Przy jego stopach tarcza skruszona,
I kawał miecza się błyszczy,
Tam śmigownica, mchem osłoniąca,
I kilka rdzawych ratyszczycy.

A z nieba księżyc smutny i bladey
Patrzał na basztę zwałoną,
Ha! — upadł promień na grobów ślady
Zadrzało młodzieńca łono....

Serce mu bije — wyteża oko
Myśl leci w przeszłość jak strzała;
Osnuta cudną marzeń powłoką
Coraz się wyżej wzbijała.

Porywa lutnię, — uderza w stróny,
Pękają zamkowe groby —
I powstał ojeów szereg zbudzony
Pełen powagi żałoby.

Każdy na piersi ma pajź rozbity,
A w piersi rana głęboka,
Ponure oko, nad hełmem kity,
Skroń jasna, biała, wysoka.

«Ha! ojce moi — teraz ja z wami!»
Zawołał młodzian w zapale,
»Tam wróg! o walcie! — ja was pieśniami
Tam — pośród żywych pochwałę!...»

Przy bokach miecze ponuro chrzęsty —
A kiedy usta otworzą,
Aż się od głosów ruiny wstrzęsły,
Tak strasznie mówią, a grożą....

Ze sztandarami idą na mury,
Dobyte błysnęły miecze,
Rozległ się odgłos boju ponury,
A krew strugami tam ciecze.

Chwila — bój ucichł — nie — wiodą dalej
Taniec śmiertelny żelazem;
A młodzian słuca brzęku ich stali
Z dzikiej rozkoszy wyrazem,

I głos po głosie na lutnię chwytają;
Brzmią stróny jak gromy boże,
Żrenica jego w ich twarze wbita...
Chce śpiewać... śpiewać — nie może...

Za skroń się chwycił, potem zawoła;
»Ojcowie! dosyć już boju!
Biesiada na nas czeka u stoła —
I pieśń — o sławie i znoju.

»Stójcie!... ha! cicho!...» zatrząsk się cały,
Słowa przerwane z ust cieką;
«Dźwięcz moja lutni!...» stróny się rwały;
A myśl odbiegła daleko.

I drzał jak listek — łono się wzdyma
Serce dreszcz zimny przenika,
W tem ktoś z szczeliny błysnął oczyma,
I śmiech się rozległ puszczyka.

Młodzian — ptakowi powtórzył śmiechem:
Kiedy się z ruin oddalał
Głos lutni dzikiem rozległ się echem,
A młodzian spiewak oszalał.

I biegł szalony baszty brzegami
Po nad przepaście, urwiska,
Z ócz tak strasznie sypał iskrami,
Jak szatan, gdy kłątwy ciska.

A potem ucichł — noc była cicha,
On stał ponury i blade,
I słychać było jak ziemia wzdycha.
Jak gwiazd płynęły gromady.

A kiedy zorza spłonęła rano
W brzask dziewiczego rumieńca.
Znaleźli ludzie lutnię strzaskaną,
A przy niej trupa — młodzieńca.

Mieczysław R.

JEDNODNIOWKI.

(Ciąg dalszy)

Na niebie zachodu pękł meteor myśli olbrzymiej, a światłość jego zajaśniała na ziemi. Nie wszyscy atoli zdjęli z nóg swoich obuwie, nie zakryli dłonią słabej źrenicy swojej, a patrząc zuchwale w światło, ukarani zostali ślepotą ducha. Owoż jak émy wieczorne okrażyli zapalone ognisko, i ślepi, opalali skrzydła wyższego swego polotu. Z pięknych i lotnych postaci wyrodziły się pełzające poczwarki, bez wzroku i lotu, i okrażały ognisko, zakryte dymem pożogi i spalenizny.

Iskry tego meteoru rozleciały się na wschód, i roznieciły nieznanę dotąd światło. I tutaj nie oddali mu wszyscy przynależnej czci boskiej, a niewestalskie dłonie chciały boski płomień jego tem podsycać, czem się podnieca ogień ziemi. I tutaj zleciały się w koło tego światła miryady duchów pół-światłych, a parte nowemi masami zagasiły nierozważnie dar boży. Iskra nieba uleciała, a ciemne masy zostały.

Straciwszy z oca punkt światły, straciły skupione masy cel i kierunek, a ich ruchy podzieliły się na oddzielne prądy, siebie wzajem krzyżujące. Ogarnęły je jakieś żądze nieokreślone, nie zdecydowane, jakieś pragnienia bez nazwy i treści, a życie ich społeczne stało się negacją wzajemną. Jak przy pierwszym wyblysku tej myśli ogniastej, wszyscy ku wspólnemu zerwali się celowi, tak po jej odlocie rozdzielono te spuściznę niepodzielną na szmaty bez użytku, a kusząc się o posiadanie niebronionych skarbów, rzucano o nie kości ręką zaborczą.

I opuściła ludzi światłość, bo ciemności nieogarnęły jej i zdawało się, że uszła, niezostawiwszy pamiątki swego pobytu na ziemi, ani nie wznieciła w sercach nadziei, że kiedyś powróci! Stali z utkwionym w niebo wzrokiem mężowie, a widząc jej wniebowstąpienie, niewiedzieli, iżali kiedy przyjdzie w obłokach majestatu swego, bodajby myślał sądu!

Tak atoli nie było. (Gdy iskra piorunu w budowę uderzy, szukamy ją w śladach przechodowych, zaczernionych sadzą i zniszczeniem, widzimy ją w popekanych murach i szybach stłuczonych, ale jej pocisku, jak wierzy prostota, nie ujrzy oko ludzkie aż po siedmiu latach. Gdzie ten pocisk trafił, w co ugodził, jaki duch piekielny padł ofiarą gniewu bożego, czy może zło zaszczepił, aby dobrym zasług pracy przysporzyć, o tem zawyrokuje historia, ów nieubłagany stenograf myśli ludzkiej.)

Przed wzrokiem błakających odsoniły się piaski pustyni, czerwone morze krwi zostawiono za sobą, a chciwi nowego zakonu, nie znaleźli Synaju, ani prawodawcy. Błądząc po pustyniach idei, zapomnieli o chlebie, a manny nie było. Nie przewodniczył im słup ognisty, prowadzący lud wybrany do ziemi obiecanej, bo w ich obozach nie było arki przymierza, nad którą by się ów słup ognisty mógł unosić, — bo nie wszyscy uczynili przymierze z Bogiem.

Był to dzień ś. Józefa, r. 1848. W więzieniu Magdaleny otworzyło się małe okienko, a więzień przytknął do kraty twarz wybladłą, i otworzył usta, aby w pierś bolącą zaczerpnąć świeżego powietrza.

A wonne, przejrzyste było powietrze. Jasny błękit rozpiął się szeroko nad stolicą Lwa ruskiego, a pierwszy promień wiosennego słońca był ciągły i czysty, jakbyśród lipca. Lekkie, białawe chmurki, żeglowały spieszenie gdzieś na wschód, niosąc z zachodu wieści tajemnicze. Nikt atoli nie odczytał ich pisma, a w stolicy Lwa było cicho i spokojnie.

Bolesnem okiem rzucił więzień na dalekie góry, migocące światłem rannego słońca, które uśmiecchem oblubienicy jaśniało na tle purpurowem. Zamgliła się łąka źrenica więźnia a ciężkie westchnienie oderwało się od piersi zboliałych i zginęło jak brzęk komaru śród głośniejszej harmonii natury.

— Przyroda piękna — zadumał więzień — a życie moje jest jedynym ciemnym punktem na jej rozkosznych licach, który tylko nowego nadaje jej wdzięku! W całym jej obrazie jest niby harmonia a przecież tyle sprzeczności składa się na tę harmonię. Ileż sprzeczności jest we mnie samym! Postać moja wyraża karę myśli, której największym jestem przeciwnikiem! Co to za bolesć cierpieć za to, czego się niema w przekonaniu!...

Więźniem tym był pan Michał, oskarżony i przekona-

ny o udział w ruchach demagogicznych i powstańczych. Narzekanie jego było słuszne, bo gdyby prawo wzięło człowieka jako jednostkę bezwzględna, pan Michał byłby najniewinniejszym i najlojalniejszym człowiekiem. Takim bowiem był w gruncie serca. Atoli prawo wzięło go w stosunku do państwa, i żądało od niego zadość uczynienia naruszonej tegoż zasady. Tym sposobem padł na pana Michała cios bolesny, że w cierpieniu swoim nie miał pociechy sumienia, ani żadnej, choćby nawet urojonej zasady, na którejby mógł oprzeć brzemień swojej boleści. Była to męka straszna, podwójna, — był to gościec dokuczliwy, chodzący po wszystkich jego kościach i je łamiący, a chory trapił się tą chorobą, której miejsca nigdy odgadnąć nie mógł. Najwięcej dręczyła go myśl, że w obec świata uchodzi za człowieka którym być dawno przestał, a trudno było zaprzeczyć temu zdaniu, jeżeli wszelkie ku temu były pozory. Biedny, w męczeństwie swem był on podwójną osobą, i cierpiał za dwóch!

Więc w odwet podobnym cierpieniom tem usilniej pracował pan Michał nad ustaleniem swego przekonania, a restaurując w gorących swych snach całą swojego rodu przeszłość, idealizował jej błędy i przesady z tym samym ferworem, z jakim niegdyś odciął od siebie wszelkie nieprzebrane jej skarby. I tak z demagoga, z człowieka ludu, organizatora mas, stał się kapłanem dawnego tradycyjnego porządku, a będąc zaciętym nieprzyjacielem wszelkiej nowości, przestrzegał ściśle nawet jego form, mocno zastarzanych i sporo zużytych. Lud, demokracja, reforma, rewolucja, były u niego jedne i te same pojęcia, a potępwszy je ryczałtem, potępiał wszystko, co w jakiejbądź było z nimi styczności. Wprawdzie z drogi jego żywota została mu gdzieś na dnie serca jedna myśl złota, ostatnie jego duszy pragnienie, ale myśl ta była więcej jakimś uczuciem tęsknem, lirycznym, niżeli jasnym, świadomym siebie pojęciem.

Fatalna jednak była konstelacja, pod którą się pan Michał urodził. Nietylko że z powodu jednodniowego swego wzroku, własne swe czyny nieustannie zaprzeczał, potrzeba jeszcze było, aby każde zdarzenie jego chwilowej wierze przeczyło. I tak kiedy sam już swoją zasadę potępiał, musiał stanąć przed sądem jako winowajca tejże i za nią karę ponieść. Teraz zaszła znowu ta sama negacja między nim a wypadkami czasu.

Właśnie gdy tak dumając, przy oknie siedział, posłyszał pan Michał jakiś głuchy szmer w powietrzu, jakby szum skrzydeł przelatujących ptaków. Wyteżył ucho, a szmer wzrastał powoli do głosów co raz wyraźniejszych, aż wreszcie wzbil się w chaos nieodgadnionych okrzyków.

Szparką z okna ujrzał więzień ruszające się masy, jak roje pszczoł, a dawne jego marzenia, jego masy ludowe, stanęły mu żywo przed oczy. Wstrząsł głową były organizator armii, jakby chciał od siebie podszeptującego zle-

go ducha odegnąć, — jednakże ucho i oko nie łudziły go. Poczęło się coś w jego głowie z porzuconej dawno myśli rozsnuwać, powoli wyskakiwały z pasma wiążące się końce nici, gwałtownie przeciętych... poczęła się motać jakaś cudnej barwy tkanina, ale pan Michał wstrząsł znowu głową, a słaba sieć pajęczka rozwiała się jak mgła poranna. Aby się dłużej nie łudzić, zamknął okno i zakopał się cały w swoich myślach restytucyjnych.

Pod wieczór atoli otworzyły się drzwi kaźni, i wszedł poważnej postaci staruszek, w sukni długiej, staropolskiej. Lica jego przeobraziły się, a oko tonęło w łzach radości i rozczulenia. Za nim widać było liczniejsze grono.

— Spelniam dzisiaj najpiękniejszą chwilę żywota mego — przemówił śród łkania — bo pocieszony sam w strapieniu mojem, przynoszę strapionym pocieszenie. Więźniom wolność zwiastuję.

— Wolność? krzyknął pan Michał, i uderzył się ręką w czoło — wolność?... a to co za wolność??

— Co to się tam na świecie stało?

— Stały się wielkie rzeczy, odpowiedział ktoś, odbyły się wstrząśnienia..

— Co, wrzasnął więzień — rewolucye.... I jaż mam zawdzięczać rewolucyom, owym nienaturalnym wstrząśnieniom organizmu społecznego, moją wolność... ja, największy przeciwnik rewolucyi, tak zwanej reformy, i wszelkich podobnych usiłowań?... ja mam dzisiaj korzystać ze złego, dla tego, że ono moje zdanie chce skorumpować, zdejmując ze mnie kajdany?...

Przybyli spojrzeli po sobie z zadziwieniem, a przypisując to rozdrażnieniu zbolalego umysłu, odeszli dalej z wieściami szczęśliwą, by ją innym, wdzięczniejszym udzielić.

Długo chodził po kaźni pan Michał, zaciskał pięści, mruczał niezrozumiałe słowa, a stając nagle bił się w czoło. W przekonaniu jego odbywała się straszna walka, egoizm natury ludzkiej walczył z przyjętą nową zasadą, która niepozwalała mu korzystać z tego, co przeklął i potępiał. A przecież wolność, świat, rodzina, uśmiechały się koleją do jego serca, a to było tak miękkie i czułe, tak chciwe rósłkosz dawno nieużytych, tak się rwało w objęcie drogiej przyjaźni, że wreszcie zdecydował się pan Michał, zostawiając tymczasem zasadę na boku, iść za popędem uczuć, które zawsze wyżej kładł nad wszelkie postanowienie, i nim poranek zawiął, zapragnął szczerze swego uwolnienia. Mimo to guiewał się przecież, że tym krokiem siebie zaprzeczył.

Ujrawszy świat i ludzi wziął się za głowę pan Michał a przeżywszy już raz uludę podobnych, wówczas silnie występujących mrzonek, stanął spokojnie na uboczu, i niewiedział, czy się ma śmiać z zapału bezrozumnych, czyli się nad nim litować. Chodził więc po ulicach stolicy, wstrząsał ramionami, a widząc bratające się stany, spluwał z najwyraźniejszą indygnacją. Zdawało mu się że wszyscy ro-

zum potracili, i byłby niezawodnie przy tem zdaniu pozostał, gdyby się nie był ujrzał osamotnionym. Już to tradycyjną słabością Junoszków było, że nieradzi występowali sami jedni z swoim zdaniem. Owoż i panu Michałowi nie dobrze jakoś zrobiło się na swoim odosobnionem stanowisku, i lżej byłoby mu już wraz z innymi stracić głowę, niżeli samemu jednemu mieć ją w miejscu przynależnem.

Teraz atoli niechciał jeszcze pan Michał głowy utracić, a jeżeli szukał towarzyszy, to jużciż szukał z głowami. Wszedł nieco w towarzystwo wyższych stanów, które oddzielając się jeszcze od gminu, nie oddzielało się już z zasady rodu, ale z interesu większego posiadania ziemi, i tam horoskop swoich oczekiwani postawił. Spodziewał się pan Michał, że wchodząc w to towarzystwo nieochybnie swoją głowę ocali, lecz zastawszy wszystkich, jak się pan Michał wyrażał, bez głów, nie pozostało mu nic więcej, jak się czempredziej swojej własnej pozbyć. (Żaden dogmat nie działa tak skutecznie jak przykład.)

Na ulicy widział pan Michał przeróżne rzeczy. Widział ludzi stanu i ludzi dziennego zarobku, ściskających się wzajem, ludzi różnej religii w jaknajwiększem równouprawnieniu, a że wszystko sobie zrównać chciano, toż i głupota występowała obok rozumu, w braterskiem zespoleniu, i to w tak prawdziwie braterskich rysach, że jedno od drugiego trudno było odróżnić. Słyszał ludzi głoszących przetężone zasady, widział starych i poważnych słuchających młokosów z największą wiarą, a byli za nadto uczciwi, aby tego, czego nie rozumieli, nie przypisać własnej swej nieudolności. To wszystko widział, słyszał i tak to pojmował pan Michał, a jeżeli ono do jego przekonania nie kwadrowało, tłumaczył to sobie ztąd, że to się odbywało na ulicy.

Wszakże i w towarzystwach, w które był wszedł, kubek w kubek to samo spostrzegł. A były to postacie poważne, znakomite rodem, tytułami i pozycją społeczną, a przecież władał nimi ten sam szaf, jakby przesadzony z ulicy, te same przetężone wyobrażenia równości człowieczej. Pan Michał widział na własne oczy, jak te znakomitości zniżały się do maluczkich, jak we wszystkim powtarzały ruchy ulicy, jak im poklaskiwały, a czasem nawet szły przodem; widział ich uściski i pocałunki, a wierzył, że były szczere a nieklamane, bo pan Michał był szczerym i nie lubił obludy. Cóż mu więc pozostało, jak rzucić się w odmęt owego wiru, w którym widział ruszających się tysiące?... Zakasał więc poły i pornał aż na dno głębi — za odradzającą się ludzkość. (C. d. n.)

Listy gospodarza wiejskiego.

v.

(Dokończenie.)

Cóż by powiedzieli świadkowie świetności naukowych przybytków w Krakowie, w Wilnie, w Warszawie, w Krzemieńcu i tylu in-

nych miastach rozległych ziem polskich, gdyby im wskazano że pięćmilionów mieszkańców najpiękniejszego kraju, bo najdroższego niegdyś korony polskiej klejnotu, zaledwie zdobyło się na grosz kwestarski, zaledwie złożyło w ciągu lat kilku, po usilnych proźbach i naleganiach sumkę 24.460 złr m. k. na kupno majątności ziemskiej, a 7.975 złr. na założenie szkoły rolniczo-przemysłowej tamże.

Cóż by powiedzieli, gdyby ich przekonano że i te nieznaczne sumki, nie są wynikiem czysto narodowych ofiar, bo od nich trzeba odliczyć dar monarchy w 3000 złr., dar galicyjskiej kassy oszczędności, uzyskany za staraniem Hrabiego Kazimierza Krasickiego w 5000, dalej znaczne dary pośmiertne, w końcu przyrost kapitału przez uprocentowanie, przeco zaledwie 20.000 złr. jest ofiarą pięćmilionowej ludności

Jak megdys Piotrowin dźwignął się z grobu, by skarcić grzech śmiałego krola, i potem ze zgrozą zatrzasnąc kamień grobowy za sobą, tak z tą samą zgrozą, wrociliby owi świadkowie świetności naukowej do zimnych swoich grobów, aby nie widzieć zimniejszych jeszcze sere ludzkich, aby nie patrzeć na ten nędzny spis nędziej-szych jeszcze darów, aby nieprzekląć wnuków za grzeszną obojętność dla kraju i światła.

Ależ wiek dziewiętnasty, wiek ucieleśnionego materializmu zaciera coraz bardziej węgielne prawdy wiary religijnej, i niszczy ten urok, co był natchniemem tylu wielkich czynów, tylu poświęceń upłynionych wieków. Dla tego daremna praca przemawiać w imieniu cieniów pomarłych pradziadów, lub ehać przekonać o ich udziale w smutku lub radości naszej. — Więc już nie miłość dla zgastych praocjów, nie cześć dla wiary i światła, ale duma i próżność niechaj przemawia do serc złodowaciałych i do skrzepitych uczuć tych, co zimnym rozumem opasłego egoizmu umieją wyszydzić każde słowo święte, umieją zniweczać wszystko w zarodzie, co złotem nie spływa w ich chciwe kieszenie. Ta sama duma i ta sama próżność niechaj przemawia do tych, którzy dla jej blichtru z taką radością opuszczają progi rodzinne, aby za ciężki pieniądz kupić za granicą u tłuszczy służebnej teatralne słowo pochlebstwa i przebyć chwil kilka wśród obcych fałszywych ukłonów, lub godzin kilka na dumnych obcych salonach. W końcu i do tych niechaj przemawia próżność i duma, co to porwani w wir zbytku i szafu, trwonią tysiące na wystawne życie, na szalone bale, a inne tysiące stawiają na kartę kapryśnego szczęścia, wabiącego tylu nieostrożnych w zakłęte koło zielonego stolika.

W jakąż to nicość spełza by ta duma i próżność, gdyby jej przyszło poszczycić się nietylko blaskiem złota strwonionego w obczyźnie, nietylko urokiem przepysznych salonów, nietylko zewnętrzną ogładą manier towarzyskich, ale tem, co jest jądrem narodowej wartości, ale głębszą nauką, gdyby ten Niemiec, Francuz i Anglik nawykły do polskiej świetności u siebie, zapragnął ją widzieć na naszej ziemi, lecz nie w machinowych sprzętach, nie w olbrzymich lustrach, złocistych pałkach i gazowych lampach, nie w utrenowanych dżokejach i koniach, nie w zgrabnych rzędach i situcznych fajeonach, bo te kupiono za drogie pieniądze u niego, ale zapragnął widzieć reprezentacją tej społeczności, której od wieków Bóg oddał klucze do europejskiego szpichlerzu.

W jakąż to wstydliwą pokorę zmalała by ta nadęta duma, ta chekpliwa próżność, gdyby ci goście z nad Renu, Sekwany i Tamizy znaleźli reprezentacją rolniczą wtłoczoną w dwa ciasne, łaską instytutu kredytowego odstąpione pokoje, gdzie między książkami, modelami, basionami, stosami nierozkupionych rozpraw towarzystwa i stółkiem sekretarza i kancelisty zaledwie obrócić się można; gdyby ci goście, w tym kraju wyłącznie rolniczym, znaleźli puste szpi-klerze, a klucze do nich zniszczone rdzą obojętności dla pracy, nauki i tych postępów rolniczych, za których pomocą wyprzedziła nas reszta Europy, i za których tylko pomocą pracowity rolnik z zim-

nych piaszczystych pruskich okolic, zasila dziś zbożem urodzajne ni-
wy nasze i oddala od nas pomór głodowy.

Kiedy więc ten hrak udziału dla towarzystwa gospodarskiego,
dla Dublin, dla szkoły rolniczo przemysłowej tłumaczym u jednych
brakiem patriotyzmu, u drugich nieznanomością historii a zład bra-
kiem części dla przeszłości, a u innych spaczeniem umysłowem,
sprowadzonym fałszywą dumą i lekkomyślną próżnością, to czemuż
można wytłumaczyć sobie tę samą obojętność u tych, których dumą i
próżność nieopanowały, którzy nietrwonią na nicosć majątków, któ-
rym wiara i nauka towarzyszą w życiu, a w domu ich narodowe
zamieszkują cnoty?

Któż do tych ludzi przemówi, kto odgadnie przyczyny ich obo-
jętności, kto tę obojętność przełamie, i w sercach rozjarzy w pło-
mień ofiarny iskry, przyrzucone pyłem moralnego uspienia?

Są jeszcze w kraju Aniołowie stróże, są jeszcze polskie niewia-
sty, te niezmordowane piastunki obyczaju, te opiekuńcze duchy litera-
tury, te skrzętne kwestarki w imieniu nędzy, wiary i nauki.

One to niechaj rozbudzą uspione umysły, niechaj rozgrzeją ser-
ca dla tak ważnej sprawy, niechaj wyproszą, gdzie proźba pomoże.
niechaj zawstydydą, gdzie wstyd płoni twarze, lecz gdzie już wszyst-
ką broń moralną zużyją bez skutku, niech tam przykładem pociągną
za sobą, a zakład naukowy w Dublinach zawdzięczy im w znacz-
nej części byt i świetność swoją, jak tyle pięknych czynów, doko-
nanych ich świętą dla kraju miłościa.

List ten podjęty jak i poprzednie w sprawie zakładu rolniczo-
przemysłowego w Dublinach, poruszył wszystkie sprężyny, bo do-
tknął wszystkich uczuć ludzkich, zdolnych wszelką otreptwiałość po-
budzić do czynu. List ten, pisany bez chęci wyszydzenia bez myśli
potępienia, wywołany jedynie ostatecznością, grożącą upadkiem
najpiękniejszemu dziełu, będzie próbierzem wykształcenia i dobrej
woli narodu, które jeżeli zdołają jego życie, niepuszczą w poniewierkę
naukowego zakładu, będzie skazówką, czy w kraju brak tych, któ-
rzy umieją kierować sprawą publiczną, czy tych co dla tej sprawy u-
mieją nieść ofiary.

Rozmaitość.

* W Hrubieszowie jest dowódczą generał Betlemiszew. Otóż on
sam opowiadać ma następujące wydarzenie. Gdy kobietom usunąć
się kazano od armii zajmującej stanowisko operacyjne, żona jego
wyjechała do Paryża. Tam razu jednego poszła na przedstawienie
sztuki: „Les Cosaques”. Podczas gdy kozacy przedstawiani jako
kanibale, poczynają rabować i mordować, i jeden z dotkniętych ży-

wo zaczyna okropności te opisywać, pani generałowa z łoży wychy-
liła się i zawołała „C'est tout menti!!” To wszystko kłamstwo. Na
to wszczyną się hałas, krzyk, wszystkich oczy zwracają się na panią
generałową która śmiało po raz trzeci to samo powtarza. Z par-
teru więc i galeryi sypanął się na nią grad jabłek i orzechów. Ktoś
z pruskiego poselstwa wszedł po chwili do jej łoży i doradził jej
przed końcem sztuki wynieść się z teatru. Usłuchała, i podawszy
rękę doradcy wyszła. Lecz na ulicy już czatowano na nią. Ogrom-
nie ją poszarpano, poszturkano, suknie na niej wszystkie podarto.
Na drugi dzień opuściła Paryż i Francją.

Przyjechali od dnia 3. do 6. Lutego do Lwowa.

PP. Papara Stanis., z Dolnicz. Vivien Winc., z Wysocka. Jordan
Teofil, z Nowegosioła. Komarnicki Jan, z Magierowa. Doliniański
Seweryn bar. z Dolinian. Dzwonkowski Edward, z Gromnik. Ko-
nopka Kazimierz, bar. z Biskowiec. Brześciński Sylwester, z Rust-
wecka Badeni Władysław, hr. z Surochowa. Obniski Wiktor, z My-
Lang Ignacy, z Wolicy. Jankowski Ludwik, z Bożykowa,
PP. Hausner Otto z Brodów. Thorznicki Konstanty z Sarnik
Ośmiałowski Simon z Janczyna. Ochocki Władysław z Gródka. Stad-
nicki hr. Leo z Nadyb. Abaucourt Xawery z Łowczy. Ryłski Henryk
z Dłużniowa. Czajkowski Robert z Brodów.

Wyjechali dnia 3. do 6. Lutego ze Lwowa:

PP. Baczynski Michał do Radlowic. Konstanty Bobowski do
Humnik. Zakrzewski Adolf do Przemysła. Wiśniewski Ludwik do Pu-
tatyecz. Wiśniewski Henryk do Dobrzan. Fran. Bal do Tuligłow.
Zaremba Bolesław do Żółkwi. Ubysz Oktaw do Ostobusza.
PP. Guzkowski Kajetan do Nowego miasta. Lanekoroński hr.
Stanisław do Sambora. Studziński Adolf do Tarnopola. Zbyszewski
Jan do Buska. Rulikowski Jan, do Uhrynowa.

Kurs telegrafowany z Wiednia 5. b. m. o g. 2. po połud.

Augsburg za 100 złr.	127 1/2	Pożyczka 5%	82 5/8	4 1/2	72
Hamburg za 100 tal. banco	93 1/8	Akcyje banku			1005
Londyn za 1 funt szterl.	12 18	Kolej północna			1977 1/2
Medyolan za 300 lirów	—	Obl. ind.			76
Paryż za 300 franków	148 1/2	Nowa pożyczka z loteryą			103 1/16
Agio duk. ces.	—	Pożyczka narodowa			85 1/16

Wczorajszy		Kurs Lwowski		Gotówka towarem.	
Dukat holenderski	złr. 5 kr. 51	złr. 5 kr. 55	złr. 5 kr. 58	złr. 5 kr. 58	złr. 5 kr. 58
Dukat cesarski	„ 5 „ 55	„ 5 „ 55	„ 5 „ 58	„ 5 „ 58	„ 5 „ 58
Półimperyal zł. rosyjski	„ 10 „ 9	„ 10 „ 9	„ 10 „ 12	„ 10 „ 12	„ 10 „ 12
Rubel srebrny rosyjski	„ 1 „ 58	„ 1 „ 58	„ 1 „ 59	„ 1 „ 59	„ 1 „ 59
Talar pruski	„ 1 „ 54	„ 1 „ 54	„ 1 „ 56	„ 1 „ 56	„ 1 „ 56
Polski kurant i pięciogotówka	„ 1 „ 25	„ 1 „ 25	„ 1 „ 26	„ 1 „ 26	„ 1 „ 26
Galicyskie listy zastawne za 100 zł. bez kuponu	92	92	93	93	93
Obligacye indemnizacyjne z kuponami	76	76	76	76	76
Galicyskie obligacye indemnizacyjne bez kuponu	75	75	75	75	75

Die durch ihre vorzügliche Wirksamkeit bekannte englische Gichtwatte von Dr. Pattison

ist in nachstehenden Städten zu beziehen: in Lemberg bei W. Willmann,
in Basel F. Jauslin; Bamberg G. Göes, Apotheker; Bremen G. Rusconi,
Barmen L. R. von der Beeck; Breslau S. G. Schwartz; Cleve R. J;
Mertens; Baden-Baden M. Stehle, Apotheker; Cassel J. Mangold; Genf
J. G. Wagner; Gotha G. Wenige; Hannover Carl Schneider; Hamburg
Grohmann & Comp.; Kiel C. Finély; Lausanne Mms. L. Golay u. Gonet.
Luxemburg J. Rhaesa; Prag Joh. Ulrich; Pforzheim Rohrek-Vorholz;
St. Gallen Frau Fehr; Soest H. Brackelmann; Schwerin A. J. Kauffmann;
Schaffhausen E. Ringk; Wien C. S. v. Waldheim; Zürich J. H. Keller.

Znanej powszechnie z zbawiennych skutków angielskiej waty od gośca i reumatycznych cierpień

Dr. Pattisona,
dostać można w następujących miastach: we Lwowie u W. Willmanna;
w Bazyli u F. Jauslina, w Bambergu u aptekarza G. Göesa, w Bre-
mie u G. Rusconiego; w Barmach u L. R. vander Beeck; w Wrocławiu
u S. G. Schwarza; w Cleve u R. J. Mertens; w Baden-Baden u M.
Stehlego aptekarza; w Cassel u J. Mangolda; w Genewie u J. G. Wa-
gnera; w Gotha u G. Wenige; w Hanowrze u Karola Schneidera; w
Hamburgu u Grohmana i spółki; w Kielu u C. F. Finelyego; w Lo-
zannie u L. Golay i Goneta; w Luxemburgu u J. Rhaesa; w Pradze
u Jana Ulricha; w Pforzheimie u Robrek-Vorholza; w St. Gallen u p.
Fehr; w Soest u H. Brackelmana. w Schwerynie u A. J. Kauffmanna;
w Schafhuzie u E. Ringka, w Wiedniu u C. L. Waldheima; w Zury-
chu u J. H. Kellera.

Wydawca i odpowiedzialny za redakcyą: H. W. Kallenbach.

Z drukarni E. Winiarza.